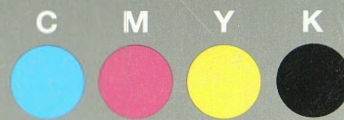




Grey Scale #13



DANES
-PICTA
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

FERDYNAND HOESICK

ZE WSPOMNIENÍ
O CENZURZE
ROSYJSKIEJ
W WARSZAWIE

WARSZAWA — 1929
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA



FERDYNAND HOESICK

ZE WSPOMNIEN
O CENZURZE
ROSYJSKIEJ
W WARSZAWIE

WARSZAWA — 1929
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA

ZE WSPOMNIEŃ
O CENZURZE ROSYJSKIEJ
w WARSZAWIE

FERDYNAND HOESICK

ZE WSPOMNIENÍ
O CENZURZE
ROSYJSKIEJ
w WARSZAWIE

WARSZAWA — 1929
NAKŁADEM KSIĘGARNI F. HOESICKA



Druk.: Piotr Pyz i S-ka, Warszawa, Miodowa 8.

Jak każdy przed wojną literat polski w Warszawie miałem oczywiście i ja w tych czasach niewoli dużo z „Komitetem cenzury” przy ul. Miodowej do czynienia. „Dziś już to snem jest”, jak mówi poeta; ale wtedy była to smutna, choć często i wesoła mimowoli, rzeczywistość. Jak w tragedjach Szekspirowskich, nie brakło w tej narodowej tragedji literatów i dziennikarzy polskich, również i epizodów humorystycznych. I choć instytucja cenzury prewencyjnej, zwłaszcza za czasów prezesury osławionego Jankulja, miała w znaczeniu duchowem coś pokrewnego z hiszpańską inkwizycją, to jednak cenzorzy, jako wykonawcy tych drakońskich przepisów, obliczonych na zabicie i unicestwienie ducha narodowego, byli tylko ludźmi, a więc nie wolnymi od słabości ludzkich, których każdy rosyjski urzędnik-czynownik, zawsze posiadał tyle, ile było potrzeba, by osłabić i przytępić ostrze praw, w „Kraju przywiślańskim” za rządów Hurki i jego następców, obowiązujących.

* * *

Nadmienić muszę, że w stosunku do cenzury rosyjskiej w Warszawie byłem już drugim pokoleniem, które z nią użerać się musiało; ojciec mój bowiem, jako księgarz i wydawca, ciągle miał z cenzurą kłopoty i nieraz mu one życie zatruwały. Niektóre nawet z tych jego zatargów stały się historycznymi i nabrały w kraju całym pewnego rozgłosu. Najlepszy dowód, że Antoni Zaleski w swoim słynnym *Towarzystwie Warszawskim*, które tyle krwi napsuło w zamku w całym Marji Andrejewny otoczeniu, wspominał o jednym z takich przejść danej firmy z cenzurą.

Rzecz miała się tak. Ponieważ księgarnia mego ojca mieściła się przy ulicy Senatorskiej vis à vis Pałacu Prymasowskiego (wówczas szkoły junkierskiej), a więc ze wszystkich księgarni warszawskich była najbliżej Zamku położoną, przeto cała rodzina Hurków, nie wyłączając Marji Andrejewny, należała do jej stałej klienteli, zaopatrując się tu w nuty i książki francuskie, głównie romanse. Wszystko, co w księgarni wybrali, kazali sobie odsyłać do domu t. j. do Zamku. Płacili gotówką, odrazu. Rachunku swego jakoś nie mieli. Najwięcej kupowali synowie Hurki, a gdy wyszło w Krakowie *Towarzystwo Warszawskie*, sam Jankulio sprowadził tę sensacyjną książkę przez księgarnię mego ojca.

Któregoś dnia przyszedł do sklepu jeden z synów Hurki, zdaje się najmłodszy, i przejrzawszy roz-

łożone na kontuarze z najświeższego „transportu” zagranicznego ostatnie nowości francuskie, wybrał z nich parę książek, kazał je sobie zawinąć i zamiast prosić o odesłanie takowych jak zwykle do Zamku, sam paczkę zabrał ze sobą.

Nazajutrz otrzymał ojciec od ówczesnego prezesa cenzury Ryżowa (który też był stałym klientem księgarni) urzędowe wezwanie, by natychmiast stawił się osobiście do Komitetu cenzury, do prezesa. Ponieważ ojciec mój nigdy sam do cenzury nie chodził, lecz wszystko z nią sprawy załatwiał przez swego pomocnika Trenklera, więc musiało zajść coś ważnego i niezwykłego.

Znalazłszy się w gabinecie prezesa, który zawsze odnosił się do ojca mego z wielką uprzejmością o cechach zyczliwości (rozmawiając z nim po francusku lub nawet po polsku, nie zaś w języku urzędowym), spotkał się ojciec mój z przyjęciem bardzo oficjalnem, sztywnem, nawet szorstkiem, przyczem Ryżow odrazu zaczął mówić po rosyjsku, a sięgnąwszy po leżącą na biurku książkę francuską w żółtej okładce — która się okazała jakąś najnowszą książką rewolucyjną księcia Krapotkina — i podając ją ojcu, rzekł z silnym akcentem ironji:

— I takie książki sprzedaje się u pana w księgarni otwarcie, leżą na kontuarze i każdy je sobie może u pana kupić. Książkę tę kupił u pana wczoraj syn generał-gubernatora. I cóż pan na to?

Ojciec mój zawsze odznaczał się wielką przytomnością umysłu, to też i w tej chwili nie stracił kontenansu i odpowiedział po polsku z niemniejszym odcieniem ironji:

— Nie rozumiem, dla czego pan prezes występuje w tym wypadku z pretensjami do mnie. To raczej ja powinienem mieć pretensję do pana, jako prezesa cenzury. Przecież wszystkie transporty zagraniczne, zanim znajdują się u mnie w księgarni, przechodzą przedtem przez cenzurę. Nie ja rewiduję skrzynie z książkami, lecz rewidują je pańscy urzędnicy i dopiero po ich rewizji skrzynie są rozpakowywane u mnie i wyjęte z nich nowości rozkładane bywają w księgarni na kontuarze. Ja książek przychodzących z Paryża i Lipska nie mam czasu czytać. Od tego są urzędnicy cenzury, żeby przepuszczać, co jest cenzuralne, a zatrzymywać, co jest niecenzuralne. Gdzież więc jest moja wina, jeżeli zakazana w Rosji książka Krapotkina znalazła się u mnie w księgarni na kontuarze. Dziwię się także, że młody pan Hurko, kupiwszy tę książkę, podjął się tak niezaszczytnej roli, żeby mnie przed panem prezesem zadenuncjować, kiedy powinien wiedzieć, że książka ta musiała między inne nowości francuskie dostać się tylko przypadkiem.

Ryzow, zresztą pocziwy moskał, poprostu zgłupiał i stracił rezon. Nie był przygotowany na taką replikę, nie przewidział, że z oskarżającego stać się

może nagle oskarżonym. Zmienił więc momentalnie ton rozmowy i już po przyjacielsku rzekł do ojca:

— No, tym razem rzecz ta nie będzie miała dla pana żadnych niemiłych konsekwencji, ale na przyszłość niech pan sam się postara, żeby takie książki do księgarni pańskiej z Paryża nie przechodziły.

Jakoż scena cała skończyła się harmonijnie: pożegnali się w najlepszej komitywie i Ryżow wyprowadził ojca mego uprzejmie aż do przedpokoju.

Pozostało to również bez wpływu na stosunek rodziny Hurków do księgarni, jako stałych klientów. Tak też było i później, gdy na miejsce Ryżowa prezesem cenzury został Jankulio.

* * *

Za jego rządów w cenzurze, najgorszych, jakie były wogóle, gdy już system rusyfikacyjny dochodził do absurdu, miała księgarnia ojca do zwalczania różne obostrzenia i szykany w formie coraz nowych przepisów, ale na szczęście, była to teoria, a praktyka, dzięki ułomności natury ludzkiej — bo przecież i cenzorzy byli ludźmi — przedstawiała się znośniej. Od czegoż łapówki? Zwłaszcza, gdy każdy „radca” z Komitetu cenzury był typowym rosyjskim łapownikiem w większym lub mniejszym stopniu. Jak dawniej, za łagodniejszego i mniej zawziętego Ryżowa, tak i teraz, za srogiego i cynicznego Jankulja (pod

zwodniczą formą wielkiej oglądy towarzyskiej i prześlicznej francuszczyzny, choć w urzędowej roli mówił wyłącznie po rosyjsku, co mu jednak na maskaradach nie przeszkadzało zupełnie czysto mówić po polsku z wdzięcznymi maseczkami), przychodziły w transportach z Lipska, stosownie ukryte pod innymi książkami, różne „zakazane” i niecenzuralne rzeczy polskie, zwłaszcza kompletne wydania Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Ujejskiego i innych patriotycznych autorów, a rzeczą było p. Trenklera, a później p. Küntzla, z paszczy cenzury je wydobyć. Na szczęście głównym rewizorem skrzyń z Lipska był cenzor Teodoridi, podobnie, jak Jankulio, greckiego pochodzenia. Był to łapownik pierwszej klasy, kontentujący się stosunkowo małymi łapówkami, byle w gotówce. Na śniadanka w handelku Arkuszewskiego na rogu Miodowej i Kapitulnej nie dał się brać, tak jak to udawało się z innymi cenzorami, którzy lubili dobrze zjeść i dużo do tego pić: on wolał pieniądze.

Ale i jemu zdarzały się chwile surowości. Raz np. złapał przypadkiem w skrzyni od Koehlera z Lipska ogromny pakiet z oprawami kompletami wydania lwowskiego Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego. Znalazłszy je, zrobił p. Küntzlowi awanturę, groził raportem, a przede wszystkim konfiskatą wszystkich tych zakazanych książek. Ale go jakoś uspokojono. Skończyło się na tem, że książki zostały

w szafie Teodoridiego w cenzurze, skąd je później sam partjami do księgarni przynosił, dostając za każdą porcję po 3 ruble. Jednem słowem, jakoś dało się żyć, nawet za czasów Jankulja!

A właśnie w tych złowrogich czasach, w r. 1891 wróciłem po mych skończonych studjach uniwersyteckich w Krakowie i zagranicą do Warszawy i rozpocząłem mój zawód literacki. Z rzeczami beletrystycznymi w postaci nowel psychologicznych à la Bourget i opisów podróży nie miałem żadnego kłopotu, bo nic w tych rzeczach niecenzuralnego nie było. Ale z mojami studjami o Słowackim i Krasińskim, z których z czasem złożyła się moja trzynomowa monografia o Słowackim, miała się rzecz o wiele gorzej. Słowacki wogóle był poetą niecenzuralnym, nazwisko jego na afiszach teatralnych *Mazepy* musiało się ukrywać pod inicjałami J. S., a specjalne studja historyczno-literackie o Słowackim, w których nie można było wymienić tytułów ani *Kordjana*, ani *Anhellego*, ani *Beniowskiego*, nie były wogóle przez cenzorów ze „starszym cenzorem” Iwanowskim na czele, dobrze widziane; owszem, były źle widziane i cenzurowane z uprzedzeniem t. j. wyjątkowo surowo. Jako przykład wymienię mój artykuł p. t. *Dwie uczty*, cały obracający się około *Beniowskiego* Słowackiego. Z artykułu tego, wydrukowanego w dodatku miesięcznym do *Przeglądu Tygodniowego*, wyrzucił Iwanowski przynajmniej jedną czwartą, przy-

czem nie pozwolił ani razu wymienić tytułu *Beniowskiego*, jako że poemat ten Słowackiego był w Rosji niepozwolonym. Również wyraz „emigracja” został przez Iwanowskiego wszędzie w artykule tym czerwonym atramentem wykreślony. Należało go omówić.

* * *

Gdy w roku 1893 umarł Jan Matejko, spisałem moje o nim wspomnienia, których starczyło na kilka długich feljetonów, i dałem je Kazimierzowi Zalewskiemu do *Wieku*. Ponieważ były to wspomnienia ściśle związane z Krakowem i jego atmosferą kulturalną w latach 1888—1893, kiedy gród podwawelski rzeczywiście był duchową Polski stolicą, więc poprzedziłem je obszernym rozdziałem wstępnym, który zajął pierwszy duży odcinek, a w którym odmalowałem intelektualne tło z Józefem Szujskim na pierwszym planie, wśród którego to otoczenia Matejko tworzył swe mistrzowskie obrazy i którego sam był wytworem.

Artykuł mój podobał się Zalewskiemu i zaraz go dał do składania. Gdym jednak w parę dni później przyszedł zrobić korektę, dowiedziałem się, że cenzor Sidorow już pierwszego feljetonu nie puścił, wykreślając go w całości. Wobec tego radził mi Zalewski pojechać do Sidorowa osobiście — jako że próżności cenzorów schlebiali trochę takie wizyty

u nich autorów — i prosić go, by tego wstępnego rozdziału nie skazywał na zagładę. Wobec tego zaraz popołudniu pojechałem na ulicę Kaliksta, gdzie mieszkał Sidorow, by coś dla feljetonu mojego wskórać.

Szanse jednak były niewielkie, raz dlatego, że artykuł był hymnem na cześć ówczesnego Krakowa i jego atmosfery — Kraków zaś dla cenzury rosyjskiej w Warszawie był jak czerwona płachta dla podrażnienia byka — a powtóre sam Sidorow (którego przedtem na oczy nigdy nie widziałem) cieszył się jako „djejatiel” najgorszą opinią. Był on, jako *Novus*, stałym korespondentem z Warszawy wielkiego petersburskiego dziennika Suworina, *Nowoje Wremja*, a korespondencje jego, pisane z wyraźną tendencją polakożerczą, nie jednały mu w Warszawie w świecie dziennikarskim sympatji. Przeciwnie. Napisał on nadto *Historję Rosjan w Polsce*, również tendencyjną w najwyższym stopniu, a jako cenzor uchodził za jednego z najsurowszych, tembardziej, że i on miał pretensje pisarskie.

Gdym zadzwonił do jego mieszkania, sam otworzył mi drzwi, przyczem łatwo mogłem skonstatować, iż był to typ „wielikorosa”: blondyn z dużą rudawą brodą (podobnym typem był Ryżow). Poznał mię odrazu, tak, że nie potrzebowałem mu się przedstawiać, a ponieważ był właśnie przy obiedzie, więc zaraz mnie poprosił do stołowego pokoju na „stakanczyk czaju” i poznał z żoną. Od pierwszej

chwili mówił ze mną po polsku, zupełnie poprawnie, gdyż ożeniony był z Polką.

Jakież jednak było moje zdziwienie, gdy mój Amfitrion, zresztą uprzejmy niesłychanie i z pewnem ugrzecznieniem, rzekł nagle do mnie:

— Wiem naturalnie, jaka sprawa pana do mnie sprowadza. Chodzi panu o feljeton o Matejce. Wykreśliłem go w całości, ale powiem panu, dla czego to uczyniłem. Nie dlatego, żeby artykuł był niecenzuralny zupełnie, choć jest z punktu widzenia cenzury drażliwy. Ale przeczytawszy go uważnie, zapragnąłem poznać osobiście autora, który tak piękną rzecz napisał. Bo muszę panu artykułu tego szczerze powinszować. Sam jestem pisarzem i znam się na wartości rzeczy literackich. Otóż muszę panu powiedzieć, iż dawno nie czytałem rzeczy, która by mi się tak podobała. Dlatego feljeton ten, choć go przekreśliłem, puszczę panu bez zmiany, bez wykreślenia jednego słowa. Nie chcę go panu psuć, choć jedno i drugie wyrażenie możeby się nadawało do wyrzucenia. Gdyby pan sam nie był przyszedł do mnie, możebym okazał się tylko cenzorem, ale skoro pan jest moim gościem, to dla miłego gościa jestem tylko gospodarzem, po rosyjsku gościnnym. Bo jak w Polsce mówi przysłowie: Gość w dom, Bóg w dom! tak i u nas w Rosji gość jest zawsze na wyjątkowych prawach. Dobrze pan zrobił dla swego artykułu, że go pan sam przyszedł bronić. Widzi pan, że obrona była łatwa.

W każdym razie ta moja pierwsza wizyta w rosyjskim domu pod znakiem cenzury wypadła ciekawie. Wszystkiego się mogłem spodziewać, tylko nie tak miłego przyjęcia.

Nawiasem mówiąc, Sidorow przeniósł się po wojnie do Belgradu, gdzie pracował w archiwum państwowem. Bawiąc przed paru laty w Warszawie, odwiedził redakcję *Kurjera Warszawskiego* i zapypywał mnie o materiały do powstania pieśni: *Jeszcze Polska nie zginęła*, gdyż zamierza napisać jej historję. Dziwne zaiste są metamorfozy ludzkie! Ktoby przypuszczał, że polakożerczy *Novus* z *Nowoje Wremja* — będzie z czasem pisał studjum o polskim hymnie narodowym!

* * *

W roku 1899 przypadła 50-ta rocznica śmierci Chopina. Między innemi z tego powodu wygłosiłem w sali Muzeum przemysłu i rolnictwa odczyt o Chopinie, o jego schyłku życia i śmierci. Odczyt miał duże powodzenie, tak, że musiałem go powtarzać, a redakcja miesięcznika *Ateneum*, którego Stosław Łaguna był wtedy redaktorem, zapragnęła rzecz tę wydrukować.

Wszystkie odczyty publiczne cenzurował naj-inteligentniejszy z cenzorów, często zastępujący prezesa, Iwanowski, który o ile był surowym cenzorem, mającym specjalny talent czytania między wierszami,



o tyle jako człowiek materialnie niezależny, a nawet zamożny (miał w Warszawie dwie kamienice), był na swem stanowisku starszego cenzora niezłomnym: nie brał łapówek. Dlatego najtrudniejsza była z nim sprawa. A przytem był doskonałym znawcą historii i literatury polskiej, naprawdę czytany w tej dziedzinie. Język polski znał gruntownie. Po polsku mówił płynnie, z lekkim zaledwie akcentem. Cenzorem był z zamiłowania, bo nie potrzebował pracować, jako urzędnik. Szczupły brunet o czarnych przenikliwych oczach, miał w twarzy o żółtej cerze coś mongolskiego.

Ponieważ odczyty, jako wygłaszane z katedry do szerokiej publiczności, podlegały specjalnie ostrej cenzurze, więc wszystko, co Chopin w swych ostatnich chwilach mówił o Polsce, o Warszawie, o Paszkiewiczzu, zostało przez Iwanowskiego bez apelacji wyrzucone. Inaczej jednak miała się rzecz z miesięcznikiem, jak *Ateneum*, przeznaczonym dla nielicznej garstki czytelników. Jakoż miesięczniki wogóle były cenzurowane najłagodniej, najliberalniej. Cenzurował je ten sam Iwanowski.

Wiedząc o tem, a idąc za radą redaktora Łaguny, wybrałem się do Iwanowskiego (mieszkał przy ul. Marszałkowskiej) tego samego dnia, kiedy drukarnia Cotti'ego posłała mu złożony już i skorygowany artykuł mój do ocenzurowania, i uprzedziłem go lojalnie, że znajdzie w tym znacznie rozszerzo-

nym artykule wszystko, co wykreślił w odczycie, uważam bowiem, że są to rzeczy z punktu widzenia państwowego nie niebezpieczne, a jednak usunięte z artykułu, pozbawiają go samego rdzenia i przeinaczają cały charakter śmierci Chopina, który nie umierał jako Francuz-paryżanin, ale jako Polak-emigrant. Zaznaczyłem przytem, że jedyny naprawdę drażliwy ustęp o Paszkiewiczu, który nie pozwoli na przewiezenie zwłok Chopina do Warszawy i pochowania ich na Powązkach, sam usunąłem, wiedząc z góry, że nawet w miesięczniku cenzurze się nie ostoi... Iwanowski, siedząc przy biurku w swym poważnym gabinecie, robiącym wrażenie biblioteki, wysłuchał spokojnie mych wywodów i obiecał artykuł przeczytać do jutra, zapewniając mię przytem, że cokolwiek mi w artykule wykreśli, artykułu mi tem jednak nie popsuje, bo czytając go, jako odczyt, czytał z wielkiem zajęciem i otwarcie przyznaje, że żał mu było tych ustępów, na których głośne odczytanie przed liczną publicznością nie mógł pozwolić.

Gdym nazajutrz zjawił się u niego o tej samej porze, przyjął mnie jeszcze uprzejmiej, niż wczoraj, a gdym usiadł naprzeciw niego przy biurku, oświadczył mi z uśmiechem, że będę chyba z niego zadowolony, bo mi puścił artykuł cały, nie wykreśliwszy w nim ani jednego słowa, a nawet zostawiwszy takie, które w innych warunkach może by usunął.

— Ale ponieważ nie chciał mię pan podejść (*padwieśli*) i z góry mi pan oświadczył, że Chopin nie umierał, jako kosmopolita, ale jako polski patryjota, i że na zaznaczeniu tego specjalnie panu zależy, co jest zresztą zrozumiałem, więc oddaję panu piękny pański i wzruszający naprawdę opis śmierci Chopina nienaruszony. Czytałem w gazetach, że musiał pan odczyt swój powtórzyć. Wcale się temu nie dziwię.

Niestety nie wszystkie moje artykuły miały u Iwanowskiego takie szczęście, jak ten o ostatnich chwilach Chopina. W temże *Ateneum* drukowane — jeszcze za redakcji Chmielowskiego — moje studjum o *Okresie rycersko-romantycznym w życiu Słowackiego* było przez tegoż Iwanowskiego niemiłosiernie pochlastane.

* * *

Od roku 1902 do 1905, za redaktorstwa najprzód Władysława Korotyńskiego, potem Jana Brzezińskiego, a w końcu Konrada Olchowicza, pracowałem stale w *Kurjerze Warszawskim*, jako reprezentant jednej połowy współwłaścicieli. Tak się ułożyły stosunki, że z racji mojego stanowiska byłem odpowiedzialny za stronę finansową wydawnictwa, co miało między innemi ten skutek, że w odniesieniu do władz rządowych byłem jakby ministrem od łapówek, co było funkcją bardzo delikatnej natury...

Prezesem cenzury był Emmauskij, a cenzorem *Kurjera*, pobierającym stałą pensję miesięczną w kwocie 300 rubli, Trofimowicz.

Emmauskij, który ze starszego cenzora awansował — w braku lepszego kandydata — na prezesa, nie cieszył się najgorszą opinią, a nawet uchodził za względnie porządnego człowieka o raczej łagodnym charakterze, o czem jego ciężka, limfatyczna, słoniowata postać o kołyszących się ruchach zdawała się dawać fizyczne świadectwo. Że jednak nie miał takich „pleców” jak Jankuljo, który przez pewien czas uchodził za kochanka Marji Andrejewny, więc nie czuł się mocnym na swem stanowisku, bojąc się własnego cienia. Bojaźliwie licząc się ze wszystkim, najchętniej, żeby się nikomu nie narazić, nie robił nic. Zawsze był chwiejny, nigdy stanowczy, tak, że prawdziwym prezesem był Iwanowski. Miał nad nim Emmauskij tę tylko jedną wyższość, że chętnie brał łapówki pod wszystkimi możliwymi postaciami, nie wyłączając gotówki ciepłą ręką, wprost z rączki do rączki. W tym kierunku nie zbywało mu nawet na pewnej pomysłowości. Nie obrażał się też, gdy go się zaprosiło na obiad lub na kolację, choć wołał kolację, ile że w porze obiadowej bardzo był zajęty „pracą”. Za to kolacje musiały być prezesowskie, t. j. godne jego wysokiego urzędowego stanowiska, a więc wódki i wina w wysokim gatunku, co również i w stosun-

ku do przekąsek z kawiozem było stawiane za warunek.

To samo dało się powiedzieć o żonie Emmauskiego, którą wszyscy w rozmowie „panią prezesową” nazywać musieli. Była to brzydka odrażająco megiera, której mąż bał się jeszcze bardziej, niż generał-gubernatora. Rodowita moskiewka, po polsku mówiła wcale dobrze i chętnie, a do redaktorów, którzy byli do wyzyskania, miała specjalną słabość, schlebającą jej próżności. Jako typ żony rosyjskiego „czynownika” w Polsce, była ona okazem wyjątkowo jaskrawym. Ordynarna, z wyglądu robiąca wrażenie kucharki lub pomywaczki, nie miała żadnego wykształcenia, ale posiadała dużo sprytu i czelności, gdy chodziło o wydobycie gotówki. Pod tym względem nie liczyła się nawet z wysokim urzędem swego małżonka-pantofla, którego podobno podczas częstych sprzeczek biła bez ceremonji po twarzy. Szczególniej gdy była pijana, a „pianstwowat” lubiła bardzo. Prócz tego paliła się do gry hazardowej, szczególnie do rulety w Monte Carlo. Póki mąż był tylko starszym cenzorem, wyjazdy na Rivierę były dla niej niemożliwe; gdy jednak została „panią prezesową” zaczęła wyjeżdżać do Monte Carlo „dla poratowania zdrowia” co roku w zimie. Jechała naturalnie „Sud-Expressem”, a więc pierwszą klasą; pieniądze zaś potrzebnych na tę podróż i na dłuższy pobyt na Rivierze, dostarczał jej nie mąż, którego pensja

na podobne zbytki nie wystarczała, ale redakcje pism stołecznych. *Kurjer Warszawski* fundował jej zawsze bilet kolejowy do „Sud-Expressu” w obie strony. Przez kilka lat wystarczała jej ta uprzejmość zupełnie, ale w czasie, gdy ja pracowałem w redakcji, zaczęła pretendować jeszcze i do dodatku gotówką „na szczęście”, ponieważ nie kryła się z tem wcale, że przedewszystkiem chodzi jej o ruletę. Wobec tego dodawaliśmy jej oprócz biletów kolejowych jeszcze 100 rubli, na które zawsze chuchała, żeby jej szczęście w grze przyniosły. Naturalnie, że stale wracała splukana do nitki, tak, że nawet z Monte Carlo pisała do nas czasami, by jej przysłać „choćby sto rubli”, bo zgrała się i nie ma za co żyć. Oczywiście, że prośba ta równała się nakazowi, bo mąż jej, gdyby się od niej dowiedział o odmowie z naszej strony, mógłby *Kurjera* szykanować...

* * *

Gdy redaktorem naczelnym *Kurjera* był Brzeziński, cieszący się w „towarzystwie” warszawskiem całkiem zasłużoną opinią *arbitra elegantiarum*, z czem szła w parze niemniej zasłużona opinia wyrafinowanego smakosza, zarówno oboje państwo Emmauscy, jak i oboje państwo Trofimowiczewie mieli używanie nielada. Brzeziński bowiem, celujący w układaniu wyszukanych *menu*, uważał, że chcąc sobie cenurę skaptować, niema na to, prócz łapówek, sku-

teczniejszego sposobu, jak „fundy” w postaci obiadów lub kolacji.

Pamiętam pierwszy taki „obiad proszony” urządzone przez Brzezińskiego — zaraz po jego objęciu redaktorstwa — w jednym z większych gabinetów Hotelu Bristol.

Zaproszonymi gośćmi, na których „cześć” wydano ten obiad na 7 osób, byli Emmauskij i Trofimowicz z żonami; w roli podejmujących gospodarzy wystąpiliśmy we trzech: Brzeziński, Konrad Olchowicz i ja. Po przekąskach, na których tle „mało solony” kawior w puszcze blaszanej rozmiarów tortu, wysuwał się z natury rzeczy na pierwszy plan, i do których najrozmaitsze wódki były czysto rosyjskim akompaniamentem, zasiedliśmy do przybranego kwiatami stołu, przyczem mnie przypadł zaszczyt siedzenia obok „pani prezesowej”, która mię, jako „pana Giezika” darzyła, nie wiem czy zasłużonem, w każdym razie otwarcie mi okazywanem zaufaniem i sympatją, licząc się widocznie z tem, że wszystkie gotówkowe interesy — a więc i łapówki — były w *Kurjerze* moim rewirem. Obiad był lukullusowy, z *menu* przez samego Brzezińskiego ułożonem, a że i wina on wybierał, więc nim podano szampana, którym Brzeziński wniósł najprzód zdrowie dam, humory przy stole ożywiły się już do tego stopnia, że równały się pąsowym wypiekom na twarzach dam, a obaj nasi goście mieli wzrok błędny i ruchy nie-

pewne. Oczywiście, że jako gospodarze, staraliśmy się o to, by goście pili jaknajwięcej, a my jaknajmniej, co miało ten skutek, że o ile my trzej byliśmy zupełnie trzeźwi, o tyle zaproszeni goście, i panowie, i panie, mieli ciągłą czkawkę, a nawet Trofimowicz musiał, jak rzymianin z czasów Tyberjusza, wydalić się do pobliskiej ubikacji, co żonę jego wprawiło nawet w chwilowe zażenowanie. Kawa czarna w specjalnej maszynie, z likierami francuskimi i koniakiem (po 45 rubli butelka) dopełniły tej libacji, po której, coś o 12-tej w nocy, wypadało przejechać się po świeżem powietrzu i trochę z nadmiaru wrażeń kulinarno-alkoholowych ochłonać.

Dwoma dorożkami parokonnemi na gumach pojechaliśmy w Aleje na spacer, poczem obaj podochoceni małżonkowie, poczuwszy w sobie niezwykle spotęgowany wigor męski, zapragnęli urządzić jeszcze dalszy ciąg „gulanja”, ale już nie z żonami. W tym celu odwieźliśmy je kolejno do domu (gdzie jak tam same trafiły po schodach, to ich mężów w tej chwili nic nie obchodziło), poczem, już sami mężczyźni, temi samymi dwiema dorożkami, pojechaliśmy szukać nowych wrażeń... Ponieważ mnie przypadł zaszczyt towarzyszenia Emmauskiemu, który teraz dopiero okazał się prawdziwym rosyjskim „duszącelawiék”, wesołym, serdecznym i rozmownym, więc kiedyśmy na Miodowej zegnali się z panią prezesową, ledwo stojącą na nogach, poleciła mi ona męża

swego mojej specjalnej opiece, mówiąc *at czistawo serca*:

— Panie Giezik, pan jest porządny człowiek i pan nie jest pijany. Ja pana bardzo proszę, niech pan tam uważa na mego męża, żeby sobie z panienkami nie pozwalał za dużo. Panie Giezik, pan to zrobi dla mnie. Pan wie, jak ja pana lubię! Więc proszę mojemu staremu nie pozwolić na wszystko, bo on, jak pijany, to nie wie, co robi, i nie uważa na siebie...

* * *

W taki to sposób zaskarbiano sobie łaski cenzury, nie mówiąc o różnych kubanach w gotówce lub prezentach przy każdej okazji. Emmauski np. lubił dobre cygara hawańskie, a nie kupował ich nigdy. Od czego redakcje pism lub księgarze? Pani Emmauska zaś przepadała za czekoladkami od Riesego i Piotrowskiego. Obowiązkiem redaktorów było pamiętać o tem. Trofimowicz też lubił dobre cygara, a u Arkuszeńskiego bywał codziennym gościem. Tam mu się nawet posyłało często odbitki artykułów, by je mógł ocenzurować przy dobrem śniadaniu, które mu fundował wydelegowany do tego jeden z współpracowników *Kurjera*, najczęściej Filipowicz lub Gliszczyński. Im lepszem było śniadanie, tem łagodniej wypadła cenzura; im więcej alkoholu, tem mniej czerwonego atramentu.

Prezes Emmauskij był za wielkim dygnitarzem na to, by bywać u Arkuszewskiego (gdzie jednak jako starszy cenzor bywał chętnie); ale gdy chodziło o łapówki, potrafił być bardzo pomysłowym, w czym mu najwięcej „pani prezesowa” skutecznie przychodziła z pomocą.

Mały przykład. W maju r. 1905, z inicjatywy Józefa hr. Potockiego, odbyła się w Agrykoli zabawa sportowa p. t. *Ghymkana*. Dla Warszawy była to nowość, a za pogoda była tego dnia prześliczna, więc publiczność stawiała się tłumnie, przyczem cały *high life* stolicy stawiał się w komplecie. Nazajutrz w porannem wydaniu *Kurjera* pojawiło się dość obszerne sprawozdanie z tego interesującego turnieju, przyczem sprawozdawca zaznaczył bez żadnego zresztą specjalnego nacisku, że *pomimo dnia powszedniego* na terenie Agrykoli zjawily się tłumy, co należy uważać za dowód, jak wielkie te hipiczne zawody wzbudziły w Warszawie zainteresowanie.

Nie upłynęło parę godzin od wyjścia tego rannego numeru, gdy już przed 11-tą w południe zadzwoniono z cenzury, z gabinetu prezesa, do redakcji, ażeby natychmiast albo pan Olchowicz, albo pan Hoesick stawił się u Emmauskiego, ile że sprawa jest bardzo ważna, a dla *Kurjera* w najwyższym stopniu niebezpieczna, bo grozi zamknięciem pisma. Okoliczności złożyły się tak fatalnie, że ja z powodu ciężkiej choroby mojej żony i mając na 12-tą w południe

naznaczone konsyljum lekarskie, musiałem być o tej porze w domu; a Olchowicz także — nie pamiętam już z jakiego powodu — nie mógł w żaden sposób wydać się na chwilę z redakcji! Próbował więc załatwić sprawę przez telefon. Jakież było jednak jego zdziwienie, gdy sam Emmauskij w sposób szorstki oświadczył mu przez telefon, że stała się rzecz fatalna, która jemu, jako prezesowi cenzury, może grozić dymisją; to też nie pozostaje mu nic innego, poprostu dla ratowania siebie, jak złożyć odpowiedni raport do jenerał-gubernatora. Więcej mówić nie może, i odłożył słuchawkę. W chwilę potem Olchowicz zadzwonił do mnie, że nie wie, o co chodzi, ale trzeba koniecznie, żebym zaraz przyjechał do redakcji. Otrzymałem ten telefon redaktora w chwili, kiedy lekarze naradzali się przy łóżku mojej chorej żony. Odpowiedziałem, że po skończonym konsyljum przyjadę zaraz. Gdym przyjechał, dowiedziałem się, że Olchowicz aż dwa razy telefonował jeszcze do Emmauskiego i do Trofimowicza, ale na oba telefony odpowiedział woźny, że w tej chwili jest sesja, i ani „Pana Prezesa”, ani pana radcy Trofimowicza odwoływać teraz do telefonu nie można. Zacząłem z kolei ja telefonować co kwadrans, ale ciągle mi odpowiadał ten sam głos, że sesja jeszcze się nie skończyła. Widocznie tak radzili nad kwestją *Kurjera* i nad owym raportem do jenerał-gubernatora. Gdy mi powiedziano w końcu, że sesja się już skończyła

wprawdzie, ale panowie się rozeszli, a pan prezes wrócił do siebie na obiad, podczas którego nie można mu przeszkadzać, poszedłem i ja do domu na obiad, poczem o 3-ej znów się znalazłem z powrotem w redakcji. Znowu zatelefonowałem do mieszkania Emmauskiego, ale mi odpowiadano, że pan prezes jeszcze przy obiedzie. Gdym zadzwonił za jakieś pół godziny, dowiedziałem się, że pan prezes położył się na zwykłą poobiednią drzemkę, która potrwa z godzinę. Wówczas zapytałem się, czy można prosić panią prezesową do telefonu. Po chwili odezwała się pani prezesowa.

— A, to pan Giezik? Panie Giezik, coście tam narobili! Mąż całe rano chodził jak bez głowy. Musiał napisać raport do generał-gubernatora.

— Już napisał?

— O, nie tylko już napisał, ale już go nawet odesłał do Zamku.

— Ojoj!

— Ale pan pewno by chciał mówić z moim mężem. Wprawdzie się już położył, ale zobaczę, może jeszcze nie usnął, to mu powiem, że pan Giezik koniecznie chce się z nim zobaczyć.

— Jeżeli pani prezesowa tak łaskawa, to będę jej bardzo wdzięczny.

Za chwilę usłyszałem głos Emmauskiego:

— *Czto wam ugodno?* — zapytał oschle w języku urzędowym.

— Panie prezesie, słyszę, że *Kurjerowi* grozi jakieś niebezpieczeństwo, ale nie wiemy, jakie? Czy pan prezes pozwoli, żebym zaraz przyjechał do niego?

— Już zapóźno. Raport już posłany, a zresztą nie mam czasu pana przyjąć, bo jutro wyjeżdżam na kurację do Karlsbadu i mam jeszcze przedtem moc spraw urzędowych do załatwienia.

— Panie prezesie. Przysięgam nie zabrać mu więcej nad pięć minut czasu, ale o te pięć minut błagam jak o łaskę.

— No, to proszę przyjechać zaraz.

I odstawił słuchawkę.

Podczas tej mojej telefonicznej rozmowy Olchowicz stał przy mnie; a gdy rozmowa urwała się nagle, rzekłem, zwracając się do niego:

— Wiem już, o co chodzi! Emmauskij jedzie jutro do Karlsbadu, chce pieniędzy na drogę. Biorę z kasy trzysta rubli i jestem przekonany, że wszystko to były strachy na Lachy.

Kazałem kasjerowi wypłacić mi trzysta rubli, włożyłem je do koperty, wsiałem w dorożkę i pojechałem na Miodową. Gdym oddał służącemu mój bilet wizytywy, zostawił mię na krótką chwilę samego w przedpokoju, poczem wprowadził mię do gabinetu prezesa. Po upływie jakichś dwóch minut, weszła z przyległego pokoju pani prezesowa. Pocałowałem ją w rączkę, to znaczy w czerwoną ordynarną rękę kucharki, i gdy mi wskazała miejsce

obok siebie na otomanie pod olcodrunkowym portretem Mikołaja II, przystąpiłem odrazu do interesu.

— Pani prezesowo, rzekłem. Nie wiem jeszcze, co się stało takiego, że pan prezes taki na *Kurjera* zagniewany, ale panieważ dowiedziałem się, że pan prezes jedzie jutro do Karlsbadu, więc przyniosłem tu coś w kopercie, co mu może przyda się w podróży.

Przy tych słowach wcisnąłem jej trzymaną już w pogotowiu kopertę do ręki.

Otworzyła spokojnie kopertę, przeliczyła trzy znajdujące się w niej sturublówki, poczem rzekła z uśmiechem, podając mi rękę do pocałowania:

— Pan Giezik to zawsze poczcuiwy i wie, co trzeba zrobić. Niech się pan nie boi, wszystko będzie dobrze.

I chuchnęła na trzymane w drugiej ręce banknoty.

W tej chwili wszedł do gabinetu Emmauskij, zimny, sztywny, oficjalny. W chwili, gdy się ze mną witał chłodno, rzekła mu małżonka po rosyjsku:

— *Znajesz ty, on tiebie triста rublej na darogu prinios!* Dobry pan Giezik!

Słowa te podziałały na Emmauskiego w sposób cudowny. Twarz jego, osowiała do tej chwili, rozpogodziła się momentalnie, na usta wystąpił miły serdeczny uśmiech, a ręka wyciągnęła się przyjaźnie do mojej.

Prosił mię zająć miejsce przy biurku, na którym leżał ranny numer *Kurjera Warszawskiego* z zakreślono-

nym czerwonym ołówkiem opisem Ghymkany, a gdym usiadł, zostawiwszy panią prezesową samą na otomanie, rzekł, podając mi *Kurjera*:

— Niech pan to przeczyta uważnie.

Przeczytałem, ale mię nic nadzwyczajnego w tym opisie zawodów konnych w Agrykoli nie uderzyło. Gdym to powiedział otwarcie, wówczas usłyszałem, co następuje:

— Czy pan nie widzi, że tu jest napisane wyraźnie: „pomimo dnia powszedniego”. A przecież wczoraj było święto galowe, z uroczystem nabożeństwem w soborze, na którym cały świat urzędowy z jenerał-gubernatorem na czele był obecny, do południa zaś wszystkie sklepy były zamknięte; wieczorem miasto było iluminowane. Ale dla *Kurjera* jest to „dzień powszedni”. Jest to obraza rządu, za którą mnie może czekać srogi *wygawor*, jako prezesa cenzury, a *Kurjera* musi spotkać zasłużona kara za takie tendencyjne lekceważenie święta galowego. Bo zrobione to było z wyraźną tendencją.

Wysłuchawszy tego aktu oskarżenia, odparłem spokojnie:

— Panie prezesie, mogę pana prezesa zapewnić, że napewno nie było tu żadnej tendencji.

— A jak pan to usprawiedliwi?

— Bardzo łatwo, panie prezesie. Uroczystość sportowa w Agrykoli odbyła się między 4-tą a 6-tą po południu, a że nie była to niedziela, więc współ-

pracownik nasz, pisząc o dniu powszednim, zapomniał poprostu, że to było święto galowe, że do południa sklepy były zamknięte. Mamy tu do czynienia ze zwykłym zapomnieniem, z niczem więcej. Zapewniam pana prezesa, że tylko tak należy się na ten *lapsus* zapatrywać, że o żadnej tendencji nie może tu być mowy. A powtóre, obowiązkiem radcy Trofimowicza, który cenzuruje Kurjera, było wykreślić to niefortunne wyrażenie, które się reporterowi w roztargnieniu z pod pióra wymknęło.

— A jednak ja w obronie własnej musiałem napisać raport o tem wszystkim.

— Panie prezesie, i naprawdę pan prezes ten raport już wysłał do Zamku?

— Właśnie przed samym obiadem został posłany.

W tej chwili wmięszala się do naszej rozmowy pani Emmauska, która jej odrazu nadała inny ton.

— Panie Giezik, raport mógł sobie pójść, ale niech się pan nie boi, nic z tego *Kurjerowi* nie będzie. Proszę mi wierzyć, że wszystko się skończy dobrze, tak, że i dziecko będzie ochrzczone, i pop zadowolony!

— Przepraszam panią prezesową, ale nie wiem, jak to rozumieć?

— Zaraz panu powiem, panie Giezik. Widzi pan, po drugiej stronie ulicy, tu naprzeciw cenzury,

jest, jak panu wiadomo, cerkiew, dawny kościół Bazylianów. Otóż w tej cerkwi jest pop, bardzo chciwy na pieniądze, tak, że nie ochrzci dziecka, gdy za to nie dostanie rubla. Za mniej nie ochrzci. Otóż któregoś dnia przyszła do niego z dzieckiem na ręku jakaś biedna kobieta, prosząc go, żeby jej to dziecko ochrzcił, ale mogła mu dać tylko 50 kopiejek, bo więcej nie miała. Pop odmówił. Żądał stanowczo rubla. Inaczej nie ochrzci. Biedna matka wyszła z płaczem na ulicę, i płacząc tak, stanęła pod drzwiami cerkwi. Zauważył ją jakiś przechodzący jegomość, porządnie ubrany, w futrze z bobrowym kołnierzem. „Czego to tak płaczecie, kobiecino?” zapytał. Odpowiedziała mu, że pop jej dziecka ochrzcić nie chce, bo nie może mu za to dać więcej, niż 50 kopiejek, a on chce rubla. Wzruszyło się serce tego pana, wyjął z kieszeni pięciorublówkę, dał ją płaczącej i rzekł: „Macie tu pięć rubli, idźcie do popa, żeby wam zaraz dziecko ochrzcił, zapłacicie mu rubla, niech wam da reszty, a ja tu na te cztery ruble zaczekam. Uradowana kobiecina poszła z dzieckiem do popa, a wróciwszy po kwadransie, oddała czekającemu na nią dobroczyńcy cztery ruble. Gdy go z wdzięcznością za ten dobry uczynek całowała w rękę, rzekł do niej ten pan z uśmiechem: „Widzicie, że wszystko się dobrze skończyło: bo i dziecko macie ochrzczone, i pop jest zadowolony, i ja fałszywe pięć rubli zmieniłem!”

Obstupi! Anegdota ta w ustach prezesowej i w obecności prezesa wzruszyła mię naprawdę, zwłaszcza, gdy wobec udobruchanego już zupełnie męża, Emmauska ciągnęła dalej.

— Widzi pan, panie Giezik, tak samo będzie z tym raportem męża do Zamku. Jak go tam włożą między akty, to go za pół roku stamtąd nie wyciągną, jak się nikt nie upomni. A jak go wtedy wyciągną, to już rzecz będzie przeczasiała i raport pójdzie do kosza! Niech się pan, panie Giezik, śmieje z tego. Gorsze bywały raporty, i nikomu nic się nie stało. Ale dobrze, że pan przyniósł mężowi te 300 rubli, bo mu kuracja w Karlsbadzie bardzo potrzebna, a pieniędzy by mu nie starczyło. A tak to i starczy. A co jest dla *Kurjera* 300 rubli? *Dienieg* macie przecież jak wody.

Dalsza rozmowa przybrała już tak serdeczny charakter, że mię zatrzymano na herbacie, przy której ów groźny raport do gubernatora jeszcze w dalszym ciągu dostarczał pani prezesowej tematu do żartów, i to wcale dowcipnych!

* * *

Nie wszyscy jednak „dygnitarze” wymagali tak wysokich jednorazowych łapówek. Dość wymienić „pana radcę” Preobrażeńskiego, który, jako inspektor drukarni, pobierał z *Kurjera* 300 rubli, ale rocznie, i to w trzech ratach, na Boże Narodzenie, na Wiel-

kanoc i na Zielone Świątki, za co przez dość długie lata swego urzędowania na tem stanowisku, ani razu progu drukarni *Kurjera Warszawskiego* nie przekroczył. Przychodził tylko w tych trzech wymienionych terminach osobiście do redakcji, prosząc o osobiste widzenie się z administratorem, uprzedzając woźnych, przez których się meldował, że „pan Giezik już wie, w jakim on interesie przychodzi”. Wtedy prosiłem go do jednego z wolnych pokoi na parominutową pogawędkę, podczas której woźny przynosił od kasjera sto rubli, poczem „pan radca”, schowawszy je do pugilaesu, zaraz się zegnał i wychodził, nie chcąc mi zabierać drogiego czasu.

Nawiasem mówiąc, mieszkał Preobrażeńskij w domu księgarza Roberta Wolffa, zdaje się przy ul. Hożej, i ani mu przyszło na myśl, żeby płacić za komorne, skoro Wolff był od niego zależnym. Irytowało to Wolffa tak długo, aż w końcu sprzedał dom, ażeby nowy właściciel nie pozwolił już Preobrażeńskiemu mieszkać za darmo.

* * *

Po ustąpieniu Preobrażeńskiego, na którego *Kurjer* pod żadnym względem z punktu widzenia drukarni nie potrzebował się skarżyć, przysłano na jego miejsce w r. 1905 młodego stosunkowo, bardzo przystojnego moskala z głębi Rosji, Smirnowa, nie mówiącego ani słowa po polsku i całkiem ze stosun-

kami w Królestwie nieobeznanego. Gdy nam się przedstawił, jako nowy inspektor drukarni, zrobił i na Olchowiczu i na mnie wrażenie pedanta, a jednocześnie człowieka sprytnego, podstępного, takiego, jakiego po rosyjsku nazywa się „chitro-mudryj”. Nie podobało nam się, że nigdy nie chciał rozmawiać z nami dwoma na raz, tylko zawsze z każdym z osobna. Trzeba mu było pokazać całą drukarnię (której Preobrażeńskij nigdy nie widział), kazał sobie objaśniać różne rzeczy, o wszystko wypytywał się bardzo szczegółowo, systematycznie. A już co nam się podobało najmniej, to, że nie dał się zaprosić ani na obiad, ani kolację, ani nawet do Lourse’a na kawę. O tem, żeby mu zaproponować łapówkę, nie było mowy. Wszystko to przejmowało nas niepokojem, który wzrósł do granic zdenerwowania, gdy „pan inspektor” zażądał kategorycznie, by mu dotyczące drukarni księgi buchalteryjne przysłać do mieszkania, ażeby się w nich mógł spokojnie i uważnie rozejrzeć.

Nie można było na to się nie zgodzić, ale obawialiśmy się najgorszych po tem kontrolowaniu ksiąg następstw, zwłaszcza, gdy chodziło o podatki, które Preobrażeńskiemu były najzupełniej obojętne. Ale nie było rady: buchalter, eskortowany przez zaufanego woźnego, musiał żądane księgi zawieść „panu inspektorowi” do domu.

W tydzień po ich otrzymaniu zjawił się Smir-

now w redakcji i zażądał widzenia się ze mną, nie z Olchowiczem, z którym zawsze pertraktował do-tychczas. Niestety, pomimo najlepszych chęci nie mogłem ządaniu temu uczynić zadość, gdyż właśnie tego dnia wyjeżdżałem z ciężko chorą żoną do Skolimowa. Prosiłem więc Olchowicza przez telefon, żeby mnie przed „panem inspektorem” wytłomaczył i zastąpił.

Skończyło się na tem, że poszli obaj do Lourse’a, bo nasz kontroler koniecznie chciał mówić w czterech oczach, z góry zapewniając sobie absolutną dyskrecję.

Zdenerwowany i przygotowany na wszystko najgorsze, szedł Olchowicz na tę poufną rozmowę, jak na ścięcie; to zaś, od czego Smirnow zaczął rozmowę, a raczej indagację, nie wróżyło nic dobrego. Bo przede wszystkim pragnął „pan inspektor” wiedzieć, czy drukarnia *Kurjera Warszawskiego* jest drukarnią wyłącznie dla drukowania pisma, czy też poza *Kurjerem* przyjmuje i inne roboty drukarskie? Na tak postawione pytanie odpowiedział Olchowicz z czystym sumieniem, że w drukarni naszej drukuje się wyłącznie *Kurjera*, i nic po zatem. Do tego stopnia, że gdy raz jeden z współpracowników zwrócił się do dyrektora drukarni naszej z prośbą, by mu wydrukował setkę biletów wizytowych, odpowiedziano mu, że w drukarni *Kurjera* jest to absolutnie niemożliwe.

Argument ten trafił „panu inspektorowi” tak dalece do przekonania, że zmieniając odrazu ton swej dotychczasowej rozmowy z oficjalnego na poufny, wystąpił z niejakim onieśmieniem i zażenowaniem z następującą propozycją:

— Bo jeżeli drukarnia *Kurjera Warszawskiego* jest wyłącznie i tylko na usługi pisma i nie przyjmuje żadnych innych robót drukarskich, to w takim razie od dwunastu lat płacicie zupełnie niepotrzebnie podatek przemysłowy, od którego drukarnie pism są wolne.

Łatwo sobie wyobrazić osłupienie Olchowicza, gdy mu tak pomyślną wiadomość całkiem niespodziewanie z tak autorytatywnej strony zakomunikowano.

— Gdybyśmy na tym punkcie doszli do jakiegoś porozumienia — ciągnął dalej pomysłowy znawca obowiązującego dla drukarni prawa rosyjskiego — to mógłbym panom wszystkie te sumy, coście przez dwanaście lat niepotrzebnie do izby skarbowej wpłacali, z powrotem wydobyć, oczywiście w ten sposób, żebym i ja coś na tem zarobił.

Zdziwiony takim obrotem sprawy Olchowicz zgodził się z góry na wszystkie zaproponowane mu warunki, a zgodził się tem łatwiej, że wymagania młodego następcy Preobrażeńskiego rzeczywiście były bardzo skromne: zadawałniał się poprostu 10-ma procentami od całej wywindykowanej sumy, co wyniosło ostatecznie około 1700 rubli.

Bo — rzecz nie dowiary — w chwili, gdy Rosja po przegranej wojnie japońskiej miała pustki w kasach państwowych, wypłacono nam w warszawskim „Kaznaczejstwie” przy ul. Rymarskiej, na skutek odpowiedniego wstawiennictwa Smirnowa gotówką na stół pełnych 17000 rubli!

Ta pierwsza udana tranzakcja bardzo zacieśniła nasz prywatny stosunek z następcą Preobrażeńskiego. Wszystko od tej chwili ułożyło się jaknajlepiej t. j. tak, że i ten nowy inspektor, o ile raz po raz co pewien czas przychodził do redakcji, mając osobisty interes do administratora, o tyle drukarnią, mającą podlegać jego nadzorowi, nie interesował się wcale.

* * *

Były to czasy rozbudzonych w Królestwie nadziei, czasy po sromotnych klęskach armji i floty rosyjskiej na Dalekim Wschodzie, czasy, gdzie dotychczasowy system „samodzierżawia” już zaczynał pękać pod wpływem knowań rewolucyjnych, czasy jednym słowem, gdzie Mikołaj II pod wpływem Wittego przemysliwał o daniu Konstytucji, a przynajmniej jej złudnych pozorów. Ośmieliło to i prasę warszawską, tak, że coraz częściej zaczęto występować z artykułami, które wprawdzie cenzura Emmauskiego tępiła niemiłosiernie, które jednak świadczyły już o przebudzeniu się ducha wolności.

Artykuł taki, przeznaczony na wstępny, napisał Szczutowski i u nas. Artykuł był pisany spokojnie, umiarkowanie, cenzuralnie, ale już był owionięty nowym duchem. Naturalnie, że Trofimowicz wykreślił go w całości. Pojechaliśmy z Olchowiczem do Emmauskiego, ale i on nie miał odwagi puścić podobnych „mrzonek”. Na swoją odpowiedzialność brać go nie chciał.

Ale myśmy się uparli i postanowiliśmy pójść do wyższej instancji, do Jaczewskiego, który był kierownikiem kancelarii generała gubernatora. Był to człowiek równie inteligentny, jak przystojny, jeszcze wcale nie stary, a jako urodzony i wychowany w Warszawie, gdzie skończył uniwersytet, mówił po polsku — gdy chciał — jak rodowity warszawianin. Wogóle cieszył się opinią przyzwoitego, kulturalnego, wykształconego człowieka, mającego ministerjalną przyszłość przed sobą, życzliwie dla Polaków usposobionego, mającego wśród nich licznych osobistych przyjaciół i kolegów. Między innemi i z Konradem Olchowiczem łączył go prawie przyjacielski stosunek.

Stosunek ten postanowiliśmy teraz wyzyskać, tak, że powróciwszy od Emmauskiego z niczem, wybraliśmy się zaraz nazajutrz w południe do Jaczewskiego. Mieszkał on w gmachu gubernatorstwa, w Pałacu Namiestnikowskim na Krakowskim Przedmieściu, gdzie zajmował w prawem skrzydle frontowe

mieszkanie na pierwszym piętrze z balkonem od ulicy. Z redakcji mieliśmy do niego dwa kroki.

Kiedy minąwszy „Bristol” znaleźliśmy się u celu, spotkalіśmy Jaczewskiego, jak wychodził na ulicę. Przywitał się z nami bardzo uprzejmie, a gdy mu Olchowicz powiedział, że właśnie idziemy do niego, oświadczył nam, że idzie naprzeciwko do Lourse'a na kawę, i zaproponował nam, byśmy mu naszą sprawę wyluszczyli w cukierni.

Jakoż przy białej kawie i ciastkach drożdżowych daliśmy mu przekreślony przez cenzurę artykuł do przeczytania, gdy jednak Jaczewski oświadczył, że artykuł weźmie z sobą do domu, by go z potrzebną rozważą przeczytać, rzekł mu Olchowicz, skarżąc się wogóle na cenzurę warszawską, która zdaje się zapominać o tem, że sytuacja się zmieniła zasadniczo, że przecież jesteście w przededniu Konstytucji...

Na ten wyraz „Konstytucja” Jaczewski zamyślił się trochę, poczem, ważąc każde słowo, rzekł spokojnie:

— Mnie się zdaje, że licząc tak bardzo na Konstytucję w Rosji, nie orientują się panowie dostatecznie w sytuacji. Mojem zdaniem, możecie na takiej Konstytucji bardzo się zawieść. Proszę nie zapominać, że póki Polacy w Królestwie mają do czynienia z rządem absolutnym, to zawsze mogą liczyć na zmianę kierunku w tym rządzie. Może

być rząd raz taki raz inny, może być rząd rusyfikatorski, ale może być i rząd liberalny, na co się właśnie w tej ciężkiej dla Rosji chwili zanosi. Co innego, gdy będziecie mieli do czynienia z Rosją konstytucyjną, z parlamentem rosyjskim, wyłonionym z woli ludu. Wtedy już nie będzie o waszych sprawach decydował rząd, ale naród rosyjski, a polityka narodu rosyjskiego będzie nacjonalistyczna. Po nacjonalizmie zaś rosyjskim nie możecie się spodziewać niczego innego, tylko polityki rusyfikacyjnej, dążącej do „abrusienja” kresów.

Nie przypuszczaliśmy z Olchowiczem w tej chwili, że słowa Jaczewskiego już w tak niedalekiej przyszłości okażą się proroczymi. A co się tyczy naszego artykułu, który zabrał z sobą, to odesłał go do redakcji nazajutrz, z dyplomatyczną uwagą, że jeszcze jest na wydrukowanie go... zawczasie!

* * *

W październiku 1905 roku, na krótko przed ogłoszeniem Konstytucji w państwie carów, przeniosłem się z rodziną na stały pobyt do Krakowa, gdzie do mej pracy historyczno-literackiej miałem lepsze niż w Warszawie warunki.

Między innemi wykończyłem tam moją trzutomową monografię o Chopinie, która ozdobnie, a nawet zbyt kownie wydana na welinowym papierze i licznemi ilustracjami w tekście ozdobiona,

chlubne krakowskiej drukarni Anczyca wydawała świadectwo. Pisana w Krakowie, w dali od cenzury, która istniała w Warszawie w dalszym ciągu, choć niby z nastaniem Konstytucji była nominalnie zniesioną, praca moja wcale się nie liczyła z wymaganiami dawnych przepisów cenzuralnych; na to jednak żeby po za Galicją i Poznańskiem zyskała debiet w Królestwie, które przecież było głównym rynkiem zbytu na książki polskie, musiała być w „Komitecie” przy ulicy Miodowej, przez jednego z dawnych cenzorów przeczytaną i do sprzedaży w księgarniach warszawskich puszczoną.

Ponieważ książka wyszła nakładem księgarni po moim ojcu, dzierżawionej przez jego dawnych pomocników, więc poleciłem głównemu kierownikowi, by po otrzymaniu pierwszego przepisowego egzemplarza złożył go w cenzurze, przyczem, żeby odrazu cenzorowi, który ją do czytania dostanie, dał dwadzieścia pięć rubli: raz dlatego, by jej długo nie trzymał w czytaniu, a powtóre, by ją puścił bez żadnych zmian. Nadmienilem przytem, że zależy mi na tem, by książkę dostał Kuźniecowa, który mi już nieraz przy innych książkach dał dowody swej względności i uprzejmości.

Stało się wszystko według mojego życzenia, ale nie upłynęło dwa tygodnie, a dostałem z księgarni wiadomość, że Kuźniecowa, choć wziął 25 rubli, książkę w kilku miejscach niemożliwie pokreślił, prze-

znacząc cały szereg stron i ustępów do zamazania czarną farbą, co oczywiście zeszpeciwszy całą książkę, bardzo by ujemnie wpłynęło na jej pokupność. Wobec tego kazałem wypłacić Kuźniecowskiemu jeszcze raz 25 rubli, żeby wykreślone przez siebie ustępy przywrócił. Po upływie kilku dni zakomunikowano mi z księgarni, że Kuźniecowski 25 rubli wziął i przywrócił znaczną część wyrzuconych przez siebie ustępów, ale nie wszystkie. Wobec tego kazałem mu jeszcze raz dać 25 rubli, żeby przywrócił resztę i puścił całość. Odpisano mi po kilku dniach, że po wzięciu tych ostatnich 25 rubli Kuźniecowski przywrócił wszystko z wyjątkiem jednej strony w tomie pierwszym, gdzie jest mowa o *Eliudzie rewolucyjnej* i gdzie są podane wyjątki z dziennika Chopina o wzięciu Warszawy przez armję Paszkiewicza, pełne obelżywych dla „Moskali” epitetów. Ta strona musi być wydarta z przeznaczonych dla Królestwa egzemplarzy. Wobec tego kazałem wypłacić Kuźniecowskiemu jeszcze raz 25 rubli, żeby jednak i tę inkryminowaną stronicę puścił. Pieniądze wziął, ale na pozostawienie w książce tej rewolucyjnej kartki się nie zgodził. Dał natomiast dobrą praktyczną radę. Z egzemplarzy, które przyjdą do Warszawy, kartkę rzezoną się w Krakowie wytnie, poczem te wycięte kartki należy osobno przysłać pod opaską do Warszawy, gdzie je już w księgarni będzie można do każdego egzemplarza włożyć z powrotem. Tak się

też zrobiło, i książka tym sposobem przeszła w całości bez żadnych zmian.

Jednem słowem mieli dużo słuszności ci, których zdaniem łapówka w Rosji zastępowała konstytucję, a czasami nawet dawała przedsmak wolności, byle tylko urzędnik był... uczynnym! Na szczęście, nieuczynni należeli do rzadkich wyjątków.

W stosunkach z warszawską cenzurą, zarówno przed jak i po nadaniu przez Mikołaja II konstytucji, odczuwało się to na każdym kroku. I to nie tylko w stosunkach z cenzurą. Inaczej, żyć by się nie dało w tej babilońskiej niewoli.

* * *

Gdy w roku 1914 wybuchła wielka wojna europejska, a w roku 1915 zaczął się w Warszawie okres „okupacji” niemieckiej, skończyły się dla rosyjskich cenzorów „piękne dni Aranjuezu”: wypadło im brać nogi za pas i zmykać w popłochu do „Matuszki Rassiji”. Miejsce ich, w stosunku do prasy polskiej i książek polskich zajęli cenzorzy niemieccy, o tyle surowsi i bezwzględniejsi, że reprezentowali cenzurę wojenną i że z początku... nie brali łapówek. Ale stopniowo i oni poszli niebawem za praktycznym przykładem swych rosyjskich poprzedników, z tą różnicą jedynie, że byli gorliwsi i inteligentniejsi, a więc bardziej wyrafinowani (nawet w braniu łapówek).

Mieszkając stale w Krakowie, nie miałem z warszawską cenzurą niemiecką osobiście nic do czynienia. Gdy jednak w tym czasie wyszła w Krakowie moja książka o *Paryżu*, puszczona przez cenzurę austriacką, w Warszawie cenzura niemiecka nie dała jej swego *placet*, czemu zresztą niebardzo się można było dziwić, zważywszy, że książka równała się apoteozie Paryża i Francji.

Pisując atoli z Krakowa do *Kurjera Warszawskiego*, musiałem liczyć się z wymaganiami cenzury niemieckiej, tembardziej, że cenzurze tej przyświecały stale wzory rosyjskie.

Najlepszy dowód, że pod jednym artykułem politycznym *Kurjera Warszawskiego*, jako zbyt śmiałym widocznie, cenzor niemiecki, przekreśliwszy go w całości, na arkuszu korektowym (zachowanym w redakcji na wieczną rzeczy pamiątkę), napisał — w przystępie dowcipu — łacińskimi literami: *Wszystko można tylko astrarować*.

Warszawa, 15 grudnia 1928 r.





35391/
2.

WYD.

LEON BERENSON
Z SALI ŚMIERCI

WSPOMNIENIA
Obrońcy Politycznego
zł. 2.50



FERDYNAND HOESICK
ZE WSPOMNIENÍ
O CENZURZE ROSYJSKIEJ
W WARSZAWIE



ANNA LEO
WCZORAJ

GAWĘDA
o niedawnej przeszłości
zł. 9.—



MIECZYSLAW SCHMIDT
MŁODZIEŻ
Z PRZED 50-CIU LATY
zł. 1.50

